

Biblioteka  
U.M.F.  
Toruń

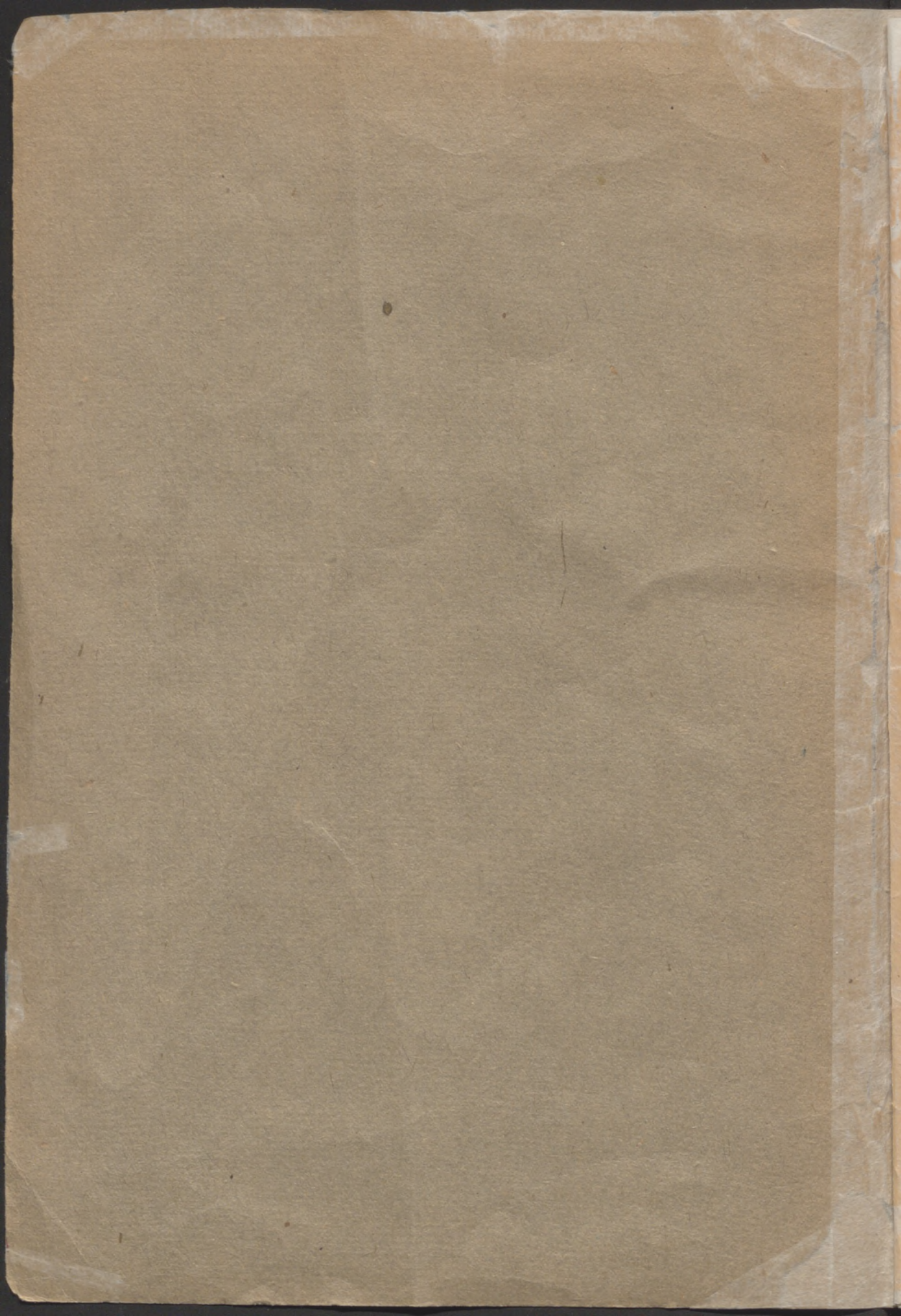
340693

STANISŁAW SROKOWSKI

UWAGI  
O KRESACH WSCHODNICH

KRAKÓW 1925







770693

STANISŁAW SROKOWSKI

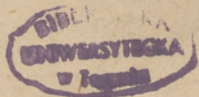
**UWAGI  
O KRESACH WSCHODNICH**

KRAKÓW 1925



ODBITKA Z »PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO« NR. 32 — GRUDZIEŃ 1924

340693



---

ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE

K. 58/63



Stosunki w naszych województwach wschodnich nie zmieniły się niestety dotychczas na lepsze. Dlatego ogłaszamy w dalszym ciągu kilka artykułów dyskusyjnych na ten temat i oddajemy w niniejszym zeszycie głos p. St. Srokowskiemu, b. wojewodzie wołyńskiemu (*Przyp. Red.*).

Pragnąc dotknąć sprawy ogromnie doniosłej i drażliwej, jaką jest określenie głównych wytycznych i warunków skutecznej polityki polskiej na kresach wschodnich, powinienem z miejsca zwrócić uwagę, że władanie kresami należy do zadań niełatwych, gdy ma się na oku celową robotę na daleką metę, zwłaszcza zaś istotne związanie tych kresów z wnętrzem państwa, do wcale zaś nietrudnych, gdy idzie się utartym szlakiem tego, co nam mówi nawyknięcie, uczucie lub doraźna korzyść, i gdy prowadzi się politykę pozorów, oportunistyczną lub egoizmu klasowego.

Tak samo jest i z wszelką działalnością publicystyczną. Pisać poważnie o dzisiejszych kresach wschodnich, przy prawie zupełnym braku nowych materiałów i przygotowawczych studjów, należy do rzeczy bardzo trudnych, zwłaszcza, że ogrom przestrzeni i różność tam panujących stosunków wymagałyby pracy bardzo rozległej i intensywnej. Cała biblioteka ledwieby ujęła to, na co ten temat zasługuje. Natomiast ślizgać się po powierzchni kwestji jest rzeczą niezmiernie prostą i nietrudzącą. Wszak kresy są tak obszerne, wszak naturalną siłą kontrastu aż zachęcają obserwatora z głębi Polski, aby coś o nich napisał. I tych fejletonów, mniej lub więcej udatnych, mamy istotnie dosyć, może nawet za dużo.

Poruszając się między temi dwiema ostatecznościami, pracy głęboko i obszernie zakrojonej, dziś dla mnie niemożliwej, i fejletonu, wybrałem drogę pośrednią. Wykład o kresach z szczególniejszem uwzględnieniem Wołynia, gdzie prawie przez całe dwa ostatnie lata pełniłem urząd wojewody, ugrupowałem około kilku momentów zasadniczych, które mojem zdaniem podnieść wypada, aby zrozumieć to, co jest dziś na ustach i w myśli wszystkich, — to jest konieczną potrzebę sanacji stosunków na wschodzie Polski. Wykażę zatem dotychczasowy zupełny brak planu politycznego działania w wschodnich województwach, błędne urabianie opinji polskiego ogółu o stosunkach kresowych, szkodliwe bo przesadne



mniemanie o obecnem znaczeniu kresowego żywiu polskiego i o rze-  
komej sile ekspansji jego kultury, niedostateczne zainteresowanie się  
czynników państwowych główną masą ludności kresowej, wreszcie nie-  
właściwość nagonki na kresową administrację, która w oczach bezkry-  
tycznego tłumu ma być wyłącznie winną wszystkim tam dostrzeżanym  
niedomaganiom.

Rzecz moją piszę li tylko w celu zachęcenia innych do dyskusji  
i głębszego zajęcia się niezmiernie ważnym dla polskiej państwowości  
tematem, bynajmniej zaś nie w zamiarze popularyzowania pewnych bo-  
jowych haseł politycznych lub też z chęcią dokuczenia komukolwiek.

#### I. ZUPEŁNY BRAK PLANU DZIAŁANIA POLITYCZNEGO NA KRESACH WSCHODNICH

Uznanie granic Rzeczypospolitej na wschodzie przez główne mocar-  
stwa sprzymierzone i stowarzyszone zamknęło szczęśliwie 15 marca 1923 r.  
okres naszych zabiegów na terenie międzynarodowym w sprawie for-  
malnego stwierdzenia między innymi również przynależności do Polski  
czterech województw kresowych, leżących na wschód od linii Curzona.  
Ich zasiąg określiliśmy zresztą sami w traktacie z Rosją bolszewicką  
z r. 1921. Jednakże jako prawny tytuł władania ten traktat wart jest  
niewiele. Niema też o nim wzmianki w decyzji mocarstw sprzymierzo-  
nych i stowarzyszonych, a i przyszła Rosja z pewnością nie zechce go  
uznać. Również i Polska nie na nim tylko opiera swe prawa do za-  
jętych obszarów wschodnich.

Posiedliśmy kresy dlatego: 1) że niegdyś, w ciągu setek lat, nale-  
żały one do Polski przedrozbiorowej; 2) że włożyliśmy w nie, w ciągu  
kilku wieków władania, moc pracy kulturalnej; 3) że na ich przestrzeni  
do dnia dzisiejszego pozostał poważny procent polskiej ludności; 4) że  
te ziemie są nam niezbędnie potrzebne, jeżeli Polska ma być mocar-  
stwem, nie zaś państwkiem bez znaczenia i siły; 5) że do Polski na-  
leżeć chciały, a przynajmniej nie wypowiadały się głośno przeciwko  
myśli wstąpienia w skład naszego państwa.

Ten ostatni, najbardziej nowożytny взгляд, jest może z wszystkich  
najważniejszy. Ma on i to za sobą, że jest najbardziej zrozumiałą  
za granicami Polski. Bo wola mieszkańców przestała już być czynnikiem,  
nad którym dyplomacja przechodziłaby do porządku dziennego. Ta wola  
waży i to ciężko. Sami na sobie doświadczyliśmy tego zresztą podczas  
plebiscytu urządzonego w Prusiech Wschodnich i na Śląsku. Wagę tego  
czynnika wypróbowali i inni: Rosja, Austria, Niemcy, nawet Anglja. Z tego  
powodu i decyzja mocarstw w sprawie uznania naszych granic wscho-  
dnych ma wartość względną. Jeżeli nad czynnikiem woli mieszkańców



przechodzić będziemy do porządku dziennego, jeżeli nie będziemy nad tem pracować, aby on w sensie dla nas pożytecznym niezachwianie istniał, jeżeli do kresów nie zastosujemy mądrej i celowej polityki, jeżeli nie zdobędziemy się tam na ofiary z naszej energii narodowej, tak potrzebnej państwu i gdzieindziej — to prędzej lub później kresy stracimy. Wszystkie tytuły posiadania, a wśród nich i uznanie mocarstw, nie zdadzą się na nic.

Wspomnieliśmy o mądrej i celowej polityce, którą na kresach należało stosować, jako o najważniejszym sposobie przywiązania ich do państwa i utrwalenia tam naszego władania. Czy taka polityka w Polsce istnieje, a jeżeli istnieje, w czym się objawia, przedewszystkiem zaś czy odpowiedziała już sobie na kilka jak najbardziej zasadniczych pytań?

Pytania te byłyby następujące:

1) Na kim na kresach mamy się opierać, zarówno gdy idzie o narodowość jak i grupę społeczną?

2) Czy polityka polska wymaga koniecznie przeciwstawiania się państwowym mniejszościom, czy też może się zadawalniać umiejętnem zwracaniem ich aspiracyj ku wnętrzu państwa?

3) Czy kresy mają służyć przedewszystkiem Polsce jako całości, czy też głównie miejscowym kresowym Polakom (nie jest to bowiem wszystko jedno)?

4) Czy nasza kresowa polityka ma całkowicie wyczerpywać swe zadania w granicach państwa, czy też wybiegać swym wpływem dalej, jednając sympatje lub antypatje poza naszym obszarem?

5) Czy polska myśl polityczna na kresach ma snuć swe wskazania i zasady jako rzecz całkiem nową bez nawiązywania do dobrych wzorów naszej przeszłości, czy też pilnie przeciwstawiać się temu, co niegdyś okazało się niedorzecznem i szkodliwym?

6) Czy zasady polskiej polityki na wschodnich kresach mają być jedne i te same na całej przestrzeni od Dżizny po Kołomyję, czy też powinny się liczyć z indywidualnem obliczem poszczególnych województw?

Zdaje mi się, że jeżeli kiedykolwiek zastanawiano się nad temi pytaniami, kryjącemi w sobie główny zrąb planowanego działania politycznego, to czyniono to w formie całkiem ogólnej i nie dotarto nigdy do żadnych obowiązujących konkluzyj. W rezultacie stracono niepotrzebnie blisko sześć lat drogiego czasu. Że zaś taka bezczynność bezkarnie ująć nie mogła i kresy jakimś życiem politycznem żyć musiały, przeto zaczęła się tam stopniowo wyrabiać polityka lekceważenia nieumiejącej się skryzalizować myśli polskiej, dążność do nieliczenia się z Polską jako czynnikiem państwowo trwałym, zaczęła się rodzić zmore separatyizmu i anarchji. Bo jeżeli natura nie znosi próżni, to tak samo jest i z poli-



tyką. Brak przesłanek politycznego działania już tworzy zachętę do nowego czynu politycznego, tylko że w odwrotnym kierunku. Na dobitkę popełniliśmy i ten błąd w odniesieniu do kresów wschodnich, że nie porozumiawszy się między sobą i niczego nie ustalwszy, słowem bez żadnego planu działania w ręku, wciągnęliśmy te obszary w zakres naszych swarów sejmowych i zmagañ tworzącego się państwa. Po prostu „strzeliliśmy“ prędzej niż ujrzeliśmy cel, do którego zmierzamy. Sami nie wiedząc, czem powinny być dla nas kresy i jaką mają one odgrywać wobec Polski rolę, zażądaliśmy od wybrańców tych ziem, aby zasiadłszy w sejmie radzili odrazu nad dobrem przeważnie obcego i nieznanego im państwa. Był to błąd tem boleśniejszy, iż nikt od nas nie żądał takiego ustosunkowania się do obcych pierwiastków. Nie żądała tego ani miejscowa ludność ani zagranica, która jeżeli czego chce od Polski dla różnoplemiennych okolic państwa, to tylko ustroju autonomicznego jako maksimum, zresztą zaś „gwarancyj specjalnych na rzecz mniejszości rasy, języka lub religji“. Zrobiono rzecz nieroztropną dlatego tylko, ażeby stworzyć jakiś wzór politycznie jednolitego aż do najdrobniejszych szczegółów państwa, a może dlatego, że taka „unifikacja“ najmniej natężyła głowy budowniczych Polski. W rezultacie posłowie kresowi, z małemi wyjątkami, Polsce nie dali, a wzięli od niej, poza sutą zapłatą z państwowych funduszków, swobodę szkodzenia jej interesom i urągania jej słabości. Po przeniesieniu naszego czynu na płaszczyznę sądów światowych wygląda to tak, jakby Anglicy do swego centralnego parlamentu londyńskiego wpuścili Hindusów z nad Gangesu. A przecież chyba nikt zaprzeczyć nie może, że Hindusi posiadają nieco większą kulturę od naszych chłopków z nad Styru i Prypeci, a Anglicy o wiele jaśniejsze i przejrystsze programy, jak z nimi postępować, a zatem i bronić się przeciwko ewentualnej złośliwości i niechęci.

Nie tu jednak koniec naszego rozstroju kresowego. Niewiadomych jest więcej.

Wszak do dnia dzisiejszego nie wiemy na prawdę, jak mają wyglądać na kresach narzędzia państwowego działania, a zatem władze i organizacje, któremi, jak żyłami, ma pulsować państwowa myśl polityczna, choćby nie wiedzieć już jak ustalona i skryształizowana. Nie wiemy n. p., czy dobrą lub złą jest przez jednych zwalczana a przez drugich zalecana autonomia terytorjalna; czy należy iść po linii rozszerzania samorządu czy też jego ścieśniania, względnie poddawania jak najdokładniejszemu dozorowi państwa; czy dobrą jest władza rozbita, jak obecnie, na nieskoordynowane z sobą i nie wiedzące o sobie zakresy, czy też zespolona; czy wojewodowie kresowi powinni być wojskowymi czy cywilnymi; czy lepszą jest straż graniczna policyjna czy wojskowa; czy poddać całe



kresy, poza związkiem z ministerstwami, jeszcze jakimś specjalnemu dla nich urzędowi, czy też tego zaniechać i t. d.

Te niewiadome — ich całkowity spis byłby olbrzymim — stale gnębią myśl każdego troskliwszego administratora kresowego, który nie może pojąć, dlaczego sprawy nieraz pierwszorzędnej wagi tak rzadko zbliżają się ku rozwiązaniu, albo tak często ulegają jak najbardziej awanturnicznym zmianom. Istną też niespodzianką było wydanie w lecie 1924 r. rozporządzeń językowych, mających obowiązywać na terenach o ludności mieszanej. Bodaj w tym jednym zakresie nastąpiło wyjaśnienie sytuacji.

Niektóre rzeczy porzucono, jak nadgryziony owoc. Stało się to n. p. z osadnictwem wojskowym. Przekonawszy się, że to przedsięwzięcie w nadanej mu formie jest nietylko niecelowe, ale wręcz szkodliwe, nie odwołano go formalnie, lecz schowano do lamusa razem z innymi próbami naszej sztuki rządzenia kresami. Pozostał tylko niemiły posmak organizacji bardzo podobnej do roboty pruskiej komisji kolonizacyjnej, coprawda nieporównanie od niej niedoleźniejszej, nie mówiąc już o tem, iż nadawanie ziemi wojskowym było nieszczęśliwą nagrodą za ich zasługi.

Rządzenie kresami tem się jeszcze odznacza, że pod względem obowiązujących ustaw panuje tam istny chaos, obcy innym częściom Polski, które i tak narzekają na posiadanie dwóch ustawodawstw, dawnego zaborczego i nowego polskiego. Ustawodawstwo, tak jak je dziś widzimy na kresach, tworzy kłócący się z sobą zlepek dawnego ustawodawstwa rosyjskiego, rozporządzeń Komisarza Generalnego Ziemi Wschodnich (Zarząd cywilny ziem wschodnich, Zarząd terenów przyfrontowych i etapowych) i ustawodawstwa sejmowego, przyczem wiele dekretów i ustaw sejmowych, wydanych zrazu tylko dla właściwej Polski, rozciągnięto stopniowo i na kresy wschodnie, nie interesując się zgoła, jak ta prawnicza ekspansja da się pogodzić z istniejącym ustawodawstwem miejscowym i odrębnością wschodnich terytoriów. Rzecz jasna, że miało to znowu oznaczać unifikację kresów z Polską. I choć sto razy już wskazywano na brak rozsądku w tem działaniu, przecież grożą nowe próby tej mechanicznej unifikacji urzędów państwowych. Wszakże rozważa się projekt zaprowadzenia na kresach tych samych ustaw samorządowych, co i w reszcie Polski, czyli inaczej wypuszczenie już do reszty z rąk całego wpływu na masy ludności z Polską jeszcze niezżyte i jej nieżycliwe.

Mówiąc o ustawodawstwie i o prawach, podniosę jeszcze i to, iż nawet Kiereński pozostawił po sobie wspomnienie na biednych polskich kresach. Mianowicie kodeks karny, obowiązujący obecnie w województwach wschodnich, jest amputowanym przez Kiereńskiego kodeksem rosyjskim, z którego ten niszczyiciel imperjum rosyjskiego dnia 18 lipca 1917 r. wypruł cały szereg artykułów, mających na celu względy na



powagę państwa. A w Polsce kresowej ów spadek po rewolucjonizującej się Rosji jest szczególnie niebezpieczny. Polska, dzięki swoistym i mocno zakorzenionym tradycjom, ma bowiem zrozumienie dla szkół, wojska, religii, sądów, może nawet nieco dla nauki lub sztuki, nie ma zaś go zaiste wiele dla państwa i jego administracji. Przecież to nasz nieszczęsny defekt odwieczny, odróżniający Polskę od społeczeństw zachodnich. Na kresach ten stan daje w skutkach ciągły konflikt sądownictwa z administracją i podkopywanie jej znaczenia w oczach ludności, czyli w rezultacie pracę dla dobra naszego wschodniego sąsiada.

Głębiej ujęte badania nad rewolucją rosyjską niezbiecie to wykazały, że grunt dla niej przygotowały między innymi ciągle spierające się z rządem ziemstwa oraz sądy, które na prowincji tworzyły coś w rodzaju zwalczającego rząd nadrzędu.

## II. SZKODLIWE URABIANIE OPINJI POLSKIEGO OGÓŁU O STOSUNKACH KRESOWYCH

Polityczna myśl polska nie bardzo wysilała się nad rozwiązaniem problemu, co zrobić z pięknym kawałem ziemi, na którym rozsiadły się cztery województwa kresowe: wołyńskie, poleskie, nowogrodzkie i wileńskie. Wszędzie luki, szczyrby, gruzy, fragmenty, słowem robotą tandetną. Posługiwano się bowiem nadmiernymi uproszczeniami, fałszywymi sądami i zgubnymi posunięciami. Nie inaczej jest też i z literaturą przedmiotu. Nawet pisarze polityczni i działacze tej miary, co prof. Stanisław Grabski, w kwestji kresów wschodnich, odzyskanych na Rosji, nie stanęli na potrzebnej wysokości.

Weźmy w rękę jego książkę p. t. *Uwagi o bieżącej historycznej chwili Polski*, wydaną w r. 1923. Rzecz pełna bystrych spostrzeżeń, w wielu kwestjach zawierająca jak najtrafniejsze uwagi (n. p. str. 140 i następne), jako całość doradza przecież błędny w odniesieniu do wschodu państwa plan działania, który, wcielony w czyn, organizującą się Rzeczpospolitą przyprowadzić może o niebywałe kłopoty, zawody i rozczerowania, a wreszcie o stratę drogiego czasu, jaki nam zostaje jeszcze na skuteczne działanie.

Prof. Grabski nie uznaje poprostu Ukraińców jako takich (str. 110 i n.) i nie chce się z nimi liczyć, jak niemniej zgodzić się bodaj na najskromniejsze w tym względzie koncesje, wywołane choćby tylko taktyką, którą stosować musimy, nie mając jeszcze dziś sił do działania bezwzględne. Znając gruntownie tylko Ukraińców małopolskich i ich front filoniemiecki i filoczeski, a zatem w skutkach swych antypolski, nie przyznaje praw do bytu także prawosławnym Ukraińcom wołyńskim, którzy zautokefalizowani i odcięci od Rosji nigdy nie mogą być dla Polski nie-



bezpiecznymi. Stać się to musi choćby już tylko dlatego, iż przy dobrych, logicznych, sprawiedliwych i pozbawionych prowokacji rządach polskich, brak im będzie zawsze powodów walki. Ukraińcy małopolscy, kulturalnie przytuleni do cywilizacji zachodniej, walczą z Polską właśnie o ściślejsze przybliżenie się do owego Zachodu, co w praktyce nosi nazwę walki o polski Lwów. Ukraińcy wołyńscy, przeciawszy związki z wschodem, a nie wszedłszy drogą unji w krąg zachodu, walczyć z nami nie mają o co, bo Kowel, Łuck czy Równe nigdy nie będzie dla nich Lwowem. Zautokefalizowana Ukraina wołyńska nigdy też nie zechce ciężcy wytrwale ku czarnomorskiej, już choćby tylko ze względu na położenie geograficzne. Idąc szlakiem swych komunikacyj lądowych i rzek uchodzących do Prypeci, a przez nie złączona z Warszawą, tam a nie gdzieindziej upatrywać będzie centrum państwowe. Wszak i w historii Wołyń bywał spornym terenem między nami a Litwą, łakomiącą się na tutejsze żyzne ziemie, nigdy zaś między nami a Ukrainą Chmielnickiego, który przy swem niepospolitem uzdolnieniu odrazu w rzece Słuczy odkrył naturalną granicę dwóch ekspansyj, basenu Wisły i Dniepru.

I dziś właściwie rozchodzi się tylko o obszary zachodnie Wołynia czyli leżące na zachód od Słuczy. Wszystko też możliwsiem jest do przypuszczenia, niż to, że zachodni Wołyń urosnie do roli ukraińskiego Piemontu, jednoczącego swemi wpływami w oddzielną całość ziemie czarnomorskie, a tem samem stanie się zarzewiem walk między Rosją a zbyt ekspansywną Polską. Ta walka powstać może, ale nie dlatego, że działając pozytywnie na Wołyniu, uznamy prawa miejscowych Ukraińców, lecz dlatego, że Rosja, najprawdopodobniej z poduszczenia Niemiec, zechce kiedyś przystąpić do ponownego „zbierania ziem ruskich“. Tem więcej zaś będzie miała do tego, bodaj pozornych, praw, im słabszym okaże się lokalny ukrainizm wołyński i im bardziej nienaruszony przetrwa w tym kraju nalot rosyjski.

Kto przeto zaprzecza istnienia nad Styrem Ukraińców, ten tem samem wywołuje tam widmo Rosji i jej praw niezadawnionych. Istnieje wprawdzie jeszcze trzecia możliwość, t. j. wyparcie owych mas ukraińskich, tych 80% osiadłej, autochtonicznej ludności. Jak się to ma atoli stać, gdzie się ich ma wyprzeć i kiedy, o tem prof. Grabski nie wspomina, czyli inaczej w stosunku do sprawy utrwalania rządów polskich na Wołyniu obraca się z swojemi wywodami w nierealnej próżni.

To zaś, co myśli prof. Grabski, powtarza potem kilka tuzinów posłów, cała rzesza dziennikarzy i tych różnych politycznych działaczy, mniej samodzielnych, dla których słowo tak wybitnego polityka jest wszystkim.



Rzetelnem badaniem kresów niemal nikt się u nas nie zajmuje; wspinała literatura rosyjska tego przedmiotu jak niemniej nasza dawniejsza, także bardzo cenna, nie znajduje kontynuatorów. Czasem jakaś broszura, czasem jakieś przemówienie w sejmie, i to wszystko <sup>1)</sup>. A obraz tego, co tam jest naprawdę do zrobienia, do poprawienia i do przeistoczenia, wykoszlawia do reszty nasza prasa. To, co się dotąd aż nazbyt często czytało o kresach w różnych artykułach pism codziennych, było albo czemś tak niedorzecznem, nieprzemyślanem i powierzchownem, albo też tak *a priori* zaprawionem tą lub ową tendencją, że tego typu robota publicystyczna sprawie raczej szkodziła niż pomagała, zaciemniała raczej niż rozjaśniała, kresy raczej od macierzy odpychała niż jednoczyła. Każdy, kto piórem władał a pobył na kresach bodaj tydzień, przystępował już do informowania ogółu, jak to tam się dzieje. Że zaś łatwo mógł się powoływać na różne rzekome lub prawdziwe, niby charakterystyczne, gdzieindziej nie spotykane lub mniej rzucające się w oczy epizody, układał z tego coś, co czytelnika bawiło, czasem gniewało, a zawsze podniecało. Jednakże ta gra na nerwach, u jednych autorów, aby zarobić od wiersza, u drugich, aby dać upust chęciom zemsty lub niepoprawnemu partyjniectwu, Polskę wiele kosztowała. U obcoplemiennej ludności kresów gruntowało się głębokie przekonanie, że rządy polskie są prawdziwym piekłem, skoro sami Polacy tak je oceniają, u ludzi w rdzennej Polsce rodziła się niechęć, zwątpienie i bezradność, zagranicą wreszcie ustalało się przekonanie, że rządzić nie umiemy i że posiadliśmy ziemie, które marzą tylko o tem, jakby od państwa odpaść. O ilustrowanie tego rzekomego stanu napadami dywersyjnymi starali się już bez nas bolszewicy, a Żydzi kresowi, mający wpływ na całą opinię świata, wykazywali, że na polskim Wschodzie jest źle, nawet bardzo źle. Oni jedyni stanowią tam element solidarny, prowadzą destrukcyjną a konsekwentną robotę antypaństwową, podsycają w masach ukraińskich lub białoruskich poczucie nienawiści rasowej, szerzą zamęt i pogłoski wojenne, i oni jedyni z tego nierozumnego postępowania publicystyki polskiej wyciągali dotąd korzyści. Poprostu każdy bał się zbiżenia do zapowietrzonych kresów, stanowiących, rzecz biorąc terytorjalnie, połowę Polski. Nieraz doznawało się wprost wrażenia, że cała ta robota jest przez kogoś zamówiona, aby wypłascać z kresów polską inicjatywę, polskiego przemysłowca, kupca, nauczyciela,

<sup>1)</sup> Wyjątek stanowi doskonała rzecz Konstantego Srokowskiego, oparta na źródłach i na badaniu na miejscu, p. t. *Sprawa narodowościowa na kresach wschodnich* (Kraków, 1924). Przez polskie czynniki mało niestety wykorzystana, dostarczyła jednak obcoplemiennej ludności kresowej dowodu, że o niej przecież obiektywnie w Polsce się myśli.



urzędnika, osadnika, aby więc kresy odgradzać od Polski murem uprzedzeń i ustalić przekonanie, że tam co krok czyha na kogoś niebezpieczeństwo życia, nikczemność, gwałt lub conajmniej materialna strata.

### III. PRZESADNE MNIEMANIE O OBECNEM ZNACZENIU KRESOWEGO ŻYWIÓŁU POLSKIEGO I O RZEKOMEJ SILE EKSPANSJI JEGO KULTURY

Dużo złego na kresach wyrządziło także pochlebiające może dumie narodowej, lecz nieodpowiadające rzeczywistości, przesadne mniemanie o łatwości, z jaką wyższa kultura polska zetrze tamtejszy nalot rosyjski. Zapatrywano się na sprawę z perspektywy przeszłości historycznej, kiedy ekspansja naszej kultury podbijała Wschód swym urokiem i wyższością. Zapomniano, że zmieniło się wiele, w szczególności zaś, że miejscowa kultura polska pod naciskiem wyjątkowych praw rosyjskich i obuchem moralnej presji skurczyła się i zwątpiała, że dusza polska utraciła wiele z rozmachu do twórczego czynu i że owa bujna ekspansja ojców i dziadów należy już niestety do przeszłości.

W odniesieniu do kresowej polskości utrzymuje się w Królestwie Polskim i w Poznańskim mniemanie, że zasadniczymi rysami charakteru Polaka kresowego są: dzielność, odwaga, niespożyta siła ducha, słowem tężyzna ponad poziom przeciętny. Niestety, znowu wspomnienia! Tak było niegdyś, kiedy kresy dostarczały Ojczyźnie najznakomitszych wojowników, statystów i ofiarników, wśród ogólnego bezrządu budujących niekiedy naprawdę imponujące rzeczy. Typ ten zachował się jeszcze poniekąd w Małopolsce Wschodniej, na innych atoli kresach już go niema, przynajmniej w tym procencie, któryby mógł mieć prawo do uwzględnienia go w charakterystyce ogólnej.

Przypatrzmy się bliżej zaludnieniu Wołynia, bo przez poznanie go będziemy mogli należycie zorjentować się w tem, czem pod względem etnicznym są dzisiejsze nasze kresy wschodnie i jak tam wogóle skromną jest rola osiadłej masy polskiej.

Oto na 165.614 osób, które w całej prowincji podczas ostatniego spisu ludności przyznały się do narodowości polskiej, mamy niewątpliwie tylko 90 do 100 tysięcy osiadłego włościanstwa i mieszczaństwa, resztę zaś stanowią prawie wyłącznie urzędnicy i różni funkcjonariusze z miejscowem otoczeniem związani bardzo słabo. Wobec potężnej masy 1,125.289 od wieków wrosłych w grunt prawosławnych owa skąpa garsteczka polskiego ludu nie ma politycznie i gospodarczo prawie najmniejszego znaczenia, tem bardziej, że gęściej skupia się ona właściwie tylko w sześciu daleko od siebie położonych punktach, mianowicie w gminie ludwipolskiej w powiecie rówieńskim, gminie Bereźce w powiecie lubomlskim, gminach Mikulicze, Korytnica i Werba w powiecie włodzi-



mierskim, oraz w gminie Szumsk powiatu krzemienieckiego. Razem w tych sześciu gminach mieszka  $\frac{1}{3}$  część całej osiadłej na Wołyniu, nieurzędniczej ludności polskiej. Reszta tj. około 60.000 dusz rozsypana jest wśród przeszło 4.000 różnych wołyńskich osiedli, miast, miasteczek, wsi, kolonij i futorów, tak iż nigdzie prawie nie stanowi czynnika, któryby przy działaniu politycznym mógł być brany w rachubę jako ważny.

Dotychczasowy przybytek 3887 polskich osadników cywilnych<sup>1)</sup> i 2997 wojskowych nie odegrał również jakiegokolwiek bądź roli w pociągnięciu kraju, zwłaszcza zaś wsi, polskim pokostem, tem bardziej, że znowu głównie dzięki tym właśnie posiłkom, rozmieszczanym w jak najbardziej niewłaściwy sposób, nastąpiło znane zaostrzenie wzajemnych stosunków między tubylczą polskością a masą ukraińską. Zresztą osadnicy wojskowi, pominąwszy nieliczne jaśniejsze wyjątki, do niedawna prawie w całości, a dziś jeszcze w znacznej części, z powodu braku kwalifikacyj i materialnych środków obrotowych, a także niedostatecznej opieki rolniczej, stanowią możliwie jak najmarniejszy żywioł kolonizatorski, w znacznej części w swych osadach nie przebywają i z polskimi osadnikami cywilnymi się nie łączą. Podkreślając swój charakter wojskowy, grają rolę jakiegoś uprzywilejowanego kozactwa, czem chłopą ukraińskiego drażnią. Nie są oni też, jak liczono, żywiołem popierającym *per fas et nefas* państwowość polską, lecz wprost przeciwnie z szeregów osadników wojskowych rekrutuje się wielu głównych krytyków polskiej państwowości.

W stosunku do samorządów osadnicy wojskowi zachowują zupełną obojętność. Z zasady prawie nie przyjmują udziału w wyborach i nie bywają obierani na urzędy gminne. Dzięki dość licznym tzw. działkom wzorowym, 45-cio hektarowym, które z reguły znajdują się w rękach oficerów i które stanowią jaskrawy kontrast wobec normalnych żołnierskich, 10 do 20-to hektarowych, osadnicy nawet między sobą nie są jednako solidarni. Osadnik żołnierz nie może też brać najczęściej przykładu z oficera, bo ten, o ile nie zdołał skupić w swem ręku, obok wzorowej, jeszcze kilku innych działek, przeważnie na roli nie siedzi, lecz wydzierzawiwszy swą ziemię chłopom ukraińskim za trzeci snop, pełni dalej służbę wojskową, ewentualnie urzędniczą, albo też oddaje się jakiemuś zajęciu handlowemu. Dopiero przekazanie osadników wojskowych całkowitej opiece władz cywilnych mogłoby osadnictwo usamodzielnąć, lecz w każdym razie nie mogłoby natychmiast uczynić je ży-

<sup>1)</sup> Po koniec roku 1923, w czem z parcelacji prywatnej 2046 (przy 19.866 ha ziemi), 1487 z parcelacji instytucyjnej (12.563 ha), 354 z parcelacji rządowej (1516 ha). Niepolskich osadników z wszystkich rodzajów parcelacji otrzymało ziemię 9941.



wiołem politycznie ważnym, gdyż długo jeszcze będzie mu brakowało tego, co w dzisiejszym ustroju demokratycznym jest najistotniejszym, t. j. cyfry.

Właśnie wskutek tego cyfrowego niedomagania — gdybyśmy nawet pominieli wszystkie inne względy — daleko jest jeszcze polskiej mniejszości wołyńskiej, pozostawionej samej sobie, bez oparcia o rząd, do tej poważnej roli, jako czynnika politycznego, którą posiadają już obecnie Żydzi, jednoczący się w razie potrzeby bardzo łatwo i ściśle nie tylko z Ukraińcami, ale także z Niemcami, Czechami i Rosjanami.

Oficjalnie Żydów według ostatniego spisu jest 188.808, Niemców 34.532, Czechów 28.171, a Rosjan 14.099. Naprawdę atoli owe cyfry, choćby tylko ze względu na częściowe uchylanie się od konkskrypcji, należy z gruntu poprawić, podnosząc liczbę Żydów przynajmniej do 260.000 dusz, Niemców (trzymając się danych pastorów luterzańskich) do 70.000, a Czechów do 40.000. Biorąc razem, zastępy tych narodowości (żyjące z reguły na wsiach nie w rozpyleniu jak Polacy, lecz w zbitych kolonjach, lub jak Żydzi w miastach, gdzie grają rolę wszechstronną) są dwa razy liczniejsze od wszystkich Polaków razem wziętych. Na tem tle cyfrowem każda nieostrożna gra polityczna w obozie polskim, zwłaszcza zaś zwalczanie się wzajemne stronnictw politycznych, jak to było podczas ostatnich wyborów do sejmu i senatu, ze stanowiska interesów narodowych wydaje się tak niezmiernie niepożądane, że na forum wołyńskim, gdzie swego czasu wystawiono aż 6 list wyborczych, jest ono do pomyślenia tylko wśród ogółu niezdającego sobie widzieć sprawy z faktycznego stanu rzeczy. I tak jest istotnie. Polak wołyński nie tylko że jest nielicznym, ale do życia politycznego i społecznego narazie zupełnie nieprzygotowanym. Nie myśli o organizacyjnych wysiłkach i nie wprowadza w swe poczynania ani należytej dozy rozważli, ani zmysłu ogólnopństwowego, ani ofiarności, ani cierpliwości, ani trzeźwej oceny swych sił. W rezultacie tworzy słaby nalot, który każdej chwili zwieje pierwsza lepsza zawierucha. Nieszczęśliwa też władza, któraby zechciała na nim wyłącznie opierać wszelkie swe rachuby i poczynania na dalszą metę, oraz odpowiednio do tego ustosunkowywać się do innych grup i czynników. Nie tylko atoli na Wołyniu, bo tak jest na całych kresach wschodnich, przy czem, rozumie się, nie mamy na myśli etnograficznej wyspy wileńskiej. Wszędzie tam autorytet Polski stoi dziś polską armją i polską administracją, tą nawet, jaka jest dzisiaj, zbiedzoną, zahukaną i niepewną jutra.

A teraz pewne porównanie!

W roku 1920 wcielono, między innymi, w skład Polski na południowym wschodzie Wołyn, a na północnym zachodzie Pomorze. W momencie włączania oba kraje nie mogły nazywać się czysto polskimi, oba prze-



były równie długie rządy, których usiłowaniem było przeciąć wszelkie węzły z obszarami rdzennie polskimi, oba wreszcie znalazły się w obrębie Polski przedewszystkiem na podstawie politycznych racyj, mających zabezpieczyć nowemu polskiemu organizmowi państwowemu żywotność i rozkwit.

Obecnie, gdy upłynęło lat pięć, warto zastanowić się, jak tu i tam oddziało wejście owych krajów w nową orbitę obcej im dotąd państwowości, oraz jakie zaszły w nich zmiany składu narodowościowego.

Oto Pomorze, w dzisiejszych swych granicach, podczas ostatniego spisu ludności dokonanego przez Niemców w r. 1910 liczyło 559.000 Polaków i 429.000 Niemców, w półtora zaś roku po przyłączeniu do Polski, według dat pierwszego spisu polskiego, 755.000 Polaków i 184.000 Niemców. A zatem w ciągu kilkunastu miesięcy przybyło tam Polaków 196.000 a ubyło Niemców 240.000, czyli wywędrowało i przywędrowało 440.000 osób, lub inaczej połowa dzisiejszej ludności pomorskiej uległa jakiemuś masowemu ruchowi. Skutki włączenia Pomorza do Polski okazały się wręcz olbrzymie. Kraj pod względem składu narodowościowego przeistoczył się zupełnie, i obecnie, t. j. na podstawie dat z r. 1921, z swemi 80·4% ludności polskiej należy do ziem tak wybitnie polskich, jak wiele okolice Kongresówki lub Zachodniej Małopolski.

Jeszcze potężniejsza, bo obejmująca przeszło milion ludzi, translokacja odbyła się w sąsiednim Poznańskim.

Zapytajmy teraz, co w dziedzinie zmian składu narodowościowego zaszło w tym samym czasie na kresach wschodnich, a w szczególności na wymienionym we wstępie Wołyniu. Ostatni spis z r. 1921 wykazał tu 165.000 Polaków czyli 10·9% ludności, a zatem tylu prawie, ilu ich było za czasów rosyjskich, cała zaś praca tworzenia osad wojskowych i cywilnych dodała w rezultacie po koniecu 1923 roku roku 6884 jednostek gospodarczych, które kiedys, gdy wszyscy osadnicy się pożenią i na prawdę na roli osiadą, odpowiedzą takiejże liczbie nowych rodzin polskich.

To wszystko, bo nawet łatwo przenoszący się i szukający zarobku robotnik polski jako kolejowy zjawił się w większej masie tylko w Kowlu. Dopisał wyłącznie polski urzędnik. Przy 1476 Ukraińcach i Rosjanach, 59 Litwinach, Białorusinach i Łotyszach, 22 Czechach, 24 Niemcach i 11 Żydach pracuje w służbie rządowej 7415 Polaków. Ta jednakże zachodzi różnica między Ukraińcami i Rosjanami a Polakami, że gdy pierwsza grupa przedstawia przeważnie żywioł osiadły, to Polacy są tu przybyszami, słabo zakorzenionymi, którzy każdej chwili gotowi są kraj opuścić i przenieść się gdzieindziej. Specjalnie ciężko waży tu kwestja mieszkaniowa, na kresach jeszcze groźniej domagająca się rozwiązania niż w innych stronach Rzeczypospolitej.



Za Bugiem działaliśmy zatem niezmiernie mało; okoliczność, to, która każdemu politykowi i mężowi stanu nasuwać musi jak najpoważniejsze refleksje.

I są dwie możliwości. Bo albo nad Stochodem, Styrem i Horyniem pracowaliśmy źle, albo też jest to kraj, w którym na punkcie przestoczenia składu narodowościowego wiele zdziałać się nie da, przynajmniej na prędcie. Zastanawiając się nad pierwszą ewentualnością i uważając w kraju rolniczym władanie ziemią i zachodzące tu przesunięcia za punkt wyjścia do wszystkich trwałych zmian, podnieść musimy, że owe 100.000 hektarów, które zajęliśmy na wielkiej własności, aby tę przestrzeń oddać osadnikom wojskowym i wogóle osadnictwu, w swej najcenniejszej części zostały już podzielone. To, co jeszcze zostało, to przeważnie mniej urodzajne przestrzenie, leśne, piaszczyste i błotne, które obcego osadnika wcale nie nęcą. Wolnych zapasów więcej zapraszającej ziemi obecnie prawie niema. Przeto i z tej strony odpada zarzut jakiegoś rażącego zaniedbania, gdy idzie o powoływanie nowego osadnictwa. Robiono, co w naszych warunkach narazie było można zrobić. Ale nawet gdyby dwa razy tyle nowych rodzin osadzono, jeszcze i wtedy w porównaniu z Pomorzem wyniki polskiej pracy osadniczej na Wołyniu nazwałoby trzeba bardzo nikłymi. Wszak ewentualnych 13.800 rodzin polskich, osadzonych na gruncie, to w najlepszym razie 60 do 65 tysięcy nowych przybyszy, którzy zaludnieniu Wołynia dadzą jakichś 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

Wynika z powyższego, że przyczyn tej mało skutecznej pracy szukać należy gdzieindziej.

Dużo się mówi o złych warunkach bezpieczeństwa na kresach, o mizernej administracji, o lichej komunikacji i t. d. Zapewne że i te względy grają bardzo doniosłą rolę, ale nie decydują. Najpoważniejszą zaporę skutecznej a szybkiej wymiany składu narodowościowego stanowią same właściwości kraju.

Wołyń, obejmujący 30.150 km<sup>2</sup> powierzchni, składa się z dwóch wyraźnie od siebie odcinających się krain, rolnego południa i leśno-łąkowej północy. Gdy średnia zaludnienia wynosi 51 głów na 1 km<sup>2</sup>, czyli mniej więcej połowę tego co w Królestwie i Małopolsce, to na rolnem południu podnosi się ta cyfra do 70 lub wyżej, aby na północy spaść znowu do 30 lub nawet niżej. Inaczej mówiąc, przyjąwszy pod uwagę niewysoki poziom kultury rolnej na Wołyniu, uważać można jego południe narazie za przeludnione, mogące przyjąć jeszcze jakich 5.000 do 6.000 rodzin osadniczych, ale nie więcej, gdyż  $\frac{2}{3}$  tej ilości wartościowej ziemi, jaką przy wytężeniu wszystkich obecnych sposobów dałoby się na cele kolonizacyjne pozyskać, trzeba oddać miejscowej ludności małorolnej. Tem pewniej zaś można stawiać tak skromne horo-



skopy naszej akcji kolonizacyjnej, opartej o dzisiejsze sposoby działania t. j. obchodzącej się bez systematycznego wykupu całkowitych małych i dużych gospodarstw i wogóle bez inwestowania w niej kapitałów państwowych na miarę pruską, iż narazie ludność kraju kurczowo trzyma się ziemi. Tylko 12% wszystkich mieszkańców Wołynia nie siedzi na roli. W Królestwie Polskiem takiej ludności mamy 37%, na Śląsku 70%. I ta właśnie okoliczność, to wrośnięcie w ziemię Wołyniaka jak najbardziej utrudnia cały polski proces kolonizacyjny. Na Pomorzu lub w Poznaniańskim takich pierwotnych stosunków już niema, a ludność stosunkowo łatwo przesuwa się tam silniej w tę lub ową stronę, emigruje, zmienia zajęcie, przenosi się do miast, słowem znajduje się w stanie rozporządzalności wytwarzających się warunków i konjunktur. Dla Wołyniaka natomiast ziemia żywicielka to wszystko, miasto zaś tylko dostawcą tych lub owych towarów, regulatorem cen, ogniskiem władzy, od czasu do czasu ośrodkiem życia politycznego. Nie ciągnie go jednak, nie pochłania, nie obejmuje. A i dla polskości nie stanowi dotąd należytego punktu oparcia. Nie promieniuje nią na zewnątrz, a przede wszystkim nie skupia polskiego żywiołu w należytej liczbie. Ta marna rola miast na kresach musi się zmienić. Jest to podwalinowy wymóg solidnej roboty osadniczej.

Drugim warunkiem jest pilniejsze zajęcie się północą kraju i jak najrychlejszy powrót do tych wielkich prac meljoracyjnych, które już zaczęli tam Rosjanie, a które przerwała wojna. Prowadzone intensywnie mogą one dać krocie hektarów użytkowych pól i łąk, oraz utworzyć naprawdę poważną podstawę do wielkiej akcji osadniczej.

#### IV. NIEDOSTATECZNE ZAINTERESOWANIE SIĘ CZYNNIKÓW PAŃSTWOWYCH GŁÓWNĄ MASĄ MIEJSCOWEJ LUDNOŚCI KRESOWEJ

Kto zastanowił się nieco nad historją naszego władania kresami wschodniemi, ten nie mógł nie dostrzec perjodycznie, co jakiś czas powracających okropnych kataklizmów, które w niwecz obracały dobytek całych wieków i zbiorową pracę kulturalną szeregu pokoleń. A zatem po dużych naszych robotach kolonizacyjno-cywilizatorskich XV, XVI i XVII wieku wojny kozackie, po okresie jakiejś takiej naprawy tych ciężkich przejść w XVIII wieku Koliszczyzna z Gontą i Żeleźniakiem, po mogłoby się zdawać nigdy nie mogących się załamać czasach ładu i dobrobytu związanego z rządami carskiemi, bakchanalje „swobody“, Petlura, bolszewicy, słowem cały ten groźny wał dziczy, który przed kilku laty przeszedł przez kresy i zaznaczył się tak smutnie na polskim stanie posiadania. Dziś tak wygląda, jakbyśmy z obszarów położonych za naszą wschodnią granicą prawie zupełnie zostali wyparci. Pozostała przetrze-



biona polskość w okolicach Żytomierza, Płoskirowa, Mińska, może coś niecoś po różnych miastach bolszewickiej Ukrainy i Białej Rusi, i to wszystko! Na pociechę możemy sobie powiedzieć co do ostatniego kataklizmu tylko to, że był on powszechnie rosyjskim i wpływem nietyle naszego oddziaływania na otoczenie i naszych własnych błędów, ile fatalnych grzechów rządów carskich. Ostatecznie jednak sprawy to w skutkach nie zmienia. Tymi, którzy na kresach i tym razem najbardziej ucierpieli, byli znowu Polacy.

Nietylko jednak kataklizmy rzucają się w oczy. Literatura sąsiadujących z nami ludów kresowych, skoro się budzi, zaczyna od pieśni nienawiści w odniesieniu do Polski, czego najwymowniejszym dowodem był chyba Szewczenko. Gdy wzbiera wśród nich uczucie religijne, krzyż zaostrza w żelezce, gotowe spaść na szyje polskie; gdy organizuje się życie ekonomiczne, to głównie, aby uniezależnić się od polskości i iść raczej z jej wrogami przeciw niej, niż z nią.

I może zaistnieć nawet przejściowy okres godzenia się tych ludzi z nami. Do głębin serca narazie nie sięgnie on nigdy. Zawsze będzie to akt powierzchowny, jeżeli nie jednostronny. Wszak to regułą prawie, że my pragnęlibyśmy zgody zupełnej, a otrzymujemy jej surogat. Tak było dawniej na obszerniejszych kresach i tak jest dzisiaj na ciasniejszych.

Skąd to pochodzi? Zgody między panem a niewolnikiem, między posiadającym a wydziedziczonym, między sytym a głodnym, między górą a dołem być nie może.

Taki zaś stosunek, a raczej jego pozór, istnieje niestety stale między nami a naszymi sąsiadami ze wschodu. Nie w interesie ich ale nas przede wszystkim leży, aby on ustał, aby nie przeciągał się całe wieki, tem bardziej, że dziś jeszcze chodzi tylko o drobnostki. Przecież obecnie ani chłop białoruski ani ukraiński nie dźwiga już ciężarów pańszczyzny, nie jest sądzony przez pana, nie jest fizycznie więcej głodnym od chłop polskiego, jeżeli wogóle jest głodnym, przestał nawet być społecznym dołem. Olbrzymie zdemokratyzowanie się Europy a z nią i Polski w ostatnich dziesiątkach lat, zdemokratyzowanie się, które tak wybitnie odbiło się na naszej konstytucji, dało mu w zasadzie możność porozumienia się z nami, jak równemu z równymi. Nie popełniliśmy nawet tego błędu, do którego tak bardzo namawiają niektóre nasze warstwy społeczne, nie mianowaliśmy rządców krajów kresowych z pomiędzy miejscowego ziemiaństwa, lecz przysyłaliśmy tam ludzi obcych, nie chcąc przypominać rządzonym masom obcoplemiennej ludności tego, co było niegdyś za dawnej państwowości polskiej.

A przecież!... Powiedziałem, że naprawdę chodzi już o drobnostki, o strzępy zasłony, które jak najprędzej należy zerwać, aby między nami





nie było działu, skoro znaleźliśmy się w jednym państwie i pod osłoną tych samych praw.

Weźmy n. p. kwestję religii. Nikt z nas nie prześladował prawosławia. Niemniej jednak naprężenie między polskością a prawosławiem istnieje już choćby tylko z tego powodu, że niema u nas naprawdę państwowej polityki wyznaniowej, wskutek czego w Polsce każde zagadnienie wyznaniowe ma również oblicze polityczne. Krótko, za wszystko co nie dogadza prawosławiu, wini się Polskę. Chcą sfery katolickie rewindykować dawne kościoły za rządów carskich przerobione na cerkwie — winną jest Polska. Traci swe grunta parafjalne na rzecz reformy rolnej poprawosławny — winną jest Polska. Zwiąją się parafje prawosławne, rzeczywiście ponad miarę rozmnożone — winną jest Polska.

I wątek tego wykazu „krzywd“ z dziedziny wyznaniowej snućby można długi, przyczem mniejsza nawet o to, czy są one prawdziwe lub urojone. Dość, że są i nam szkodzą politycznie. Już inne potraktowanie z urzędu dostojnika kościoła prawosławnego niż katolickiego, albo inne odniesienie się reprezentanta władzy do uroczystości prawosławnej niż do katolickiej, mobilizuje opinię obcoplemiennych mas przeciwko Polsce tem bardziej, że w świeżej jeszcze pamięci tłumów, cóż dopiero duchowieństwa, tkwi fakt, iż prawosławie na kresach było przeszło setkę lat wyznaniem uprzywilejowanym.

Podobnie jest ze szkołami, nabywaniem polskiego obywatelstwa, polityką stowarzyszeniową, osadniczą i t. p. Wszystko to, co robi się tutaj nieroztropnego, nieostroznego lub nieprzemysłanego, bije przede wszystkim w Polskę, już choćby dlatego, że urzędnikami są Polacy. Zwłaszcza zaś szkoły. W takim n. p. kraju jak Wołyń dawać pozwolenia na szkoły prywatne Żydom i Rosjanom, a odmawiać ich Ukraińcom, to prawdziwe sianie głębokiej nienawiści, nie mówiąc już o tem, że to wszystko jest najzupełniej bezcelowem.

Nie inaczej jest też i z nadawaniem praw. Tysiące ludzi mogliśmy sobie zjednać i wyrwać im żądło agitacji antypolskiej, gdybyśmy nie prowadzili tak częstej polityki negacji praw do kawałka chleba wobec tych, którzy go dawniej mieli, a z chwilą wejścia władz polskich stracili.

To są tak zwane „krzywdy“, a teraz z kolei zaniedbania i niedopatrzeń naszego systemu rządzenia.

Udajmy się do gminy. Tam za rządów carskich skupiało się wszystko, czego miejscowy chłop potrzebował. Tam w sprawach mniej ważnych wymierzano mu sprawiedliwość, tam szukał opieki administracyjnej i kredytu na swoje potrzeby. Dziś za lada drobnostką musi jechać do odległego miasta powiatowego po niemożliwych drogach, by aż nazbyt



często dowiedzieć się, że winien przyjechać jeszcze raz drugi, trzeci i czwarty,

A sprawa nabywania ziemi i wogóle kontakt z urzędami ziemskimi Chłop chodzi od instancji do instancji, siedzi godzinami w ciasnych i zgiełkliwych korytarzach po to najczęściej, żeby się dowiedzieć, iż kupno a nawet tylko zamiana ziemi jest niemożliwą. Nie inaczej z płaceniem podatków, które nęka chłopca cały rok. Chłop chce płacić, ale nie lubi w tej dziedzinie żadnych niespodzianek i ciągłego dopominania się z tego lub owego tytułu, zupełnie mu niezrozumiałego. Wszystko to drażni chłopca i napętnia żalem nie do kogo innego tylko do Polski, w której rządach dopatruje się niedbałości i ucisku.

Naprawdę jednak są te rządy tylko nieprzemyślane, co tem bardziej atoli niebezpieczne, iż ciągle zmieniają się gabinety, kierunki, osoby. Rzadko które kresowe starostwo, aby nie liczyło już sobie w ciągu pięciu lat rządów polskich tyluż bodaj starostów. Jeszcze gorzej jest z wojewodami i wyższymi funkcjonariuszami. W innych państwach, zwłaszcza przy takim systemie rządzenia, stworzonoby przynajmniej jakieś autorytatywne centrum, z któregooby zaczerpnąć można bodaj dobrej rady. U nas i tego niema.

Bo gdzież w Polsce jakiś Instytut do umiejętnego badania kresów, taki, jaki nawiasem mówiąc już oddawna powinien istnieć dla spraw wschodnio-pruskich i bałtyckich? Tysiące najtrafniejszych spostrzeżeń, rad i wskazówek, zawartych w różnych raportach i aktach urzędowych giną bez śladu i pożytku dla sprawy polskiej na kresach wschodnich, po to, aby ktoś inny znowu rzecz zaczynał *ab ovo*. Wszak cała tajemnica przewidującej niemieckiej mądrości politycznej, a jeszcze więcej angielskiej lub francuskiej, sprowadzić się daje przeważnie do faktu posiadania takich instytutów czy stowarzyszeń, które szybko, sprawnie i zwięźle umieją poinformować męża stanu o tem, co robić i jak robić. A stare tradycje państwowe raczej tam może, a nie u nas pozwalałyby na zaniechanie specjalnych badań i dociekań.

Czegoż, dzięki poznaniu gruntu i systematycznemu działaniu, zdołali dokonać Francuzi w Marokku, gdzie dzikie plemiona zaprzęgli do najgorliwszej służby w interesie Francji w przeciwieństwie do dyletanckich poczynań Hiszpanów, biorących za to raz po raz krwawe ciężki? Jak ustosunkować się umieli wzajemnie, po wybadaniu wszelkich możliwości współpracy w Belgji, romańscy Wallonowie i germańscy Flamingowie? Wszak romańska Bruksela od Antwerpji, największego obok Gandawy centrum życia flamandzkiego, leży zaledwie o kilkadziesiąt minut jazdy koleją żelazną i tylko dzięki bardzo szczegółowemu poznaniu się dwóch ludów jest tam możliwe ich współżycie pod dachem jednej pań-



stwowości, mimo że ich dążności są bardzo rozbieżne, jeżeli nie wręcz sobie przeciwne. Na jednym z pierwszorzędných placów Antwerpji stoi posąg Boduognata, niby pierwszego germańskiego Flamanda, który w 57 r. przed Chr. walczył bohatersko z wkraczającym tu Cezarem, pierwszym znowu reprezentantem kultury romańskiej, przedstawionej w ten sposób jako niby gnębielka ciągle jeszcze gnębiąca.

Ale na co nam tak daleko sięgać! Kto kiedykolwiek przypatrywał się, jak np. przez Niemców w Prusiech Wschodnich opracowany jest każdy krok ich postępowania z Mazurami, ten pojmie bez trudu, że na tym gruncie w dzisiejszych warunkach i przy dzisiejszem naszym przygotowaniu walka o duszę polską musi być dla nas straconą. Mazur przytrzymywany przy niemieckości tysiącami jak najprzeżytniej obmyślanych wiązań jest jej najwierniejszym sługą. Niemcy Mazura lepiej znają, niż on sam siebie.

Dlaczegoż jednak i my nie moglibyśmy zastosować podobnego pogłębienia naszej wiedzy w odniesieniu do naszych kresów wschodnich? Już sama np. sprawa języka ukraińskiego, używanego na Wołyniu, daje dużo do myślenia. Dziś wdziera się tam do szkół i do publicystyki ten język z Małopolski, ale nie zachwyca to wcale miejscowych Wołyniaków, którzy radziby, aby raczej ich narzecze osiągnęło prymat. A różnice językowe po obu stronach dawnego kordonu są wcale poważne. Ustalone w książkach, dałyby nam w rękę poważny atut polityczny. Tymczasem w rzeczywistości brak nawet książek elementarnych pisanych dla Wołynia. Setkami tysięcy wędrują one z Małopolski, to znaczy dopiero za czasów polskich dokonuje się umysłowa, kulturalna i językowa unifikacja dwóch krain przez cały wiek z okładem od siebie oddzielonych. Czy nam ona tak bardzo potrzebna, niech odpowiedzą sobie ci, co są winni zaniebdania.

Myślałby kto może, że skoro tego typu sprawy nie budzą zainteresowania, to bodaj pilnie śledzimy tak niestychanie ważne dla Polski zewnętrzne kwestje prawosławia, autokefalji itp. rzeczy. Gdzietam! I tutaj dla systematycznych obserwacyj — a bez nich niema wniosków — brak zaciekawienia. Niezmiernie doniosła oficjalna sesja synodalna cerkwi prawosławnej w Polsce, która tego roku w sierpniu, chyba za wiedzą rządu, zgromadziła pod przewodnictwem metropolity Dionizego w Poczajowie wszystkich biskupów orjentalnych, odbywała się bez przedstawiciela Ministerstwa Wyznań a w obecności, w charakterze obserwatora a niejednokrotnie i doradcy, byłego ukraińskiego ministra oświaty z czasów Petlury i byłego rektora ukraińskiego uniwersytetu w Kamieńcu Podolskim, zamieszkałego stale we Lwowie, profesora Ogijenko. Tematem obrad był stosunek patriarchy moskiewskiego Tychona do zagadnienia



autokefalji w Polsce, sprawa wprowadzonego niedawno w cerkwi prawosławnej, bez wszelkiego z naszej strony przygotowania gruntu, a zatem i z bardzo nieszczęśliwym wynikiem, kalendarza gregorjańskiego itd.

Sztunda i jej intensywne rozszerzanie się po ziemiach polskich, głównie przy pomocy kaznodziejów żydów, też nie bywa w dostateczny sposób obserwowana, nie mówiąc już o jej zwalczaniu. A przecież podsykana i opłacana z Berlina i Bolszewji, pokrywa się ona najzupełniej z rozprzestrzenianiem się komunizmu, i w nowej swej kreacji atakuje tak dobrze religję prawosławną jak i katolicką, jak wogóle wszystkie religie z wyjątkiem żydowskiej, a nadto podważa cały ład społeczny.

A wreszcie, skoro mowa o niedostatecznym zgłębianiu przez nas problemu kresów wschodnich, jeszcze jedna uwaga.

Oto nikt chyba nie zaprzeczy, że jedynym wielkim naszym wynalazkiem w przeszłości dziejowej na gruncie polityki państwowej była idea jagiellońska. Jak rzadko jednak i w jak dziwnym akompaniamencie swarów biegnie do niej nasza współczesna myśl polityczna. Po złożeniu do szaf uczonych prac historyków, po spreparowaniu sobie na codzień czegoś, co nie odpowiada ani w części istocie rzeczy, odwróciliśmy się od tej wielkiej naszej przeszłości i nie w niej widzimy wskazania na przyszłość.

Mylą się przecież ci, co przypuszczają, że idea jagiellońska to ekspansja zewnętrzna państwa, to zagarnięcie Litwy, to sholdowanie Kurlandji i Inflant, to posunięcie się dalekie nad Dniepr i za Dniepr, to sadowienie się bocznych linii naszego domu królewskiego na tronach Węgier i Czech. Wszystko to prawda, ale to jedna dopiero strona, i to mniej ważna, zewnętrzna, czegoś, co się u nas podówczas działo. Wewnętrzna jest ważniejszą. Idea jagiellońska to przedewszystkiem potężna praca amalgamowania pierwiastków obcoplemiennych przy daniu im równocześnie jak największej wolności rozporządzania sobą. Pracę tę prowadzono u nas wszędzie tak dobrze na Rusi, jak i na Pomorzu. Idea jagiellońska to kaplica bizantyjska na Wawelu, to język kancelaryj królewskich jeszcze do początku XVII wieku nie lękających się w pewnych okolicznościach używać ruszczyzny, to przedziwny wpływ, który przy polskości umiał stale utrzymać takich kniazów Ostrogskich, równocześnie największych protektorów wojującego prawosławia, to wreszcie odwaga, z jaką w XV wieku na świeżo odzyskanych ziemiach przymorskich przez szereg lat pozostawiono na dygnitarstwach nawet Niemców. Idea jagiellońska to ufność w siebie i w przyszłość narodu, to branie w rachubę polityczną czynnika czasu, to wcielanie w szeregi współpracujące z polskością wszystkich wybitniejszych ludzi swego czasu, to pilne stosowa-



nie w życiu politycznym zasady *sum cuique*, to przyzwalanie ludziom o cudzej wierze i obcym języku czuć się w Polsce jak w własnym domu.

Sądzę że częstsze zastanawianie się nad ideą jagiellońską nie przyniosłoby nam szkody. Nie płytsza ona w każdym razie od idei Ligi Narodów, a omszona czcigodną pięciowiekową przeszłością.

#### V. BEZKRYTYCZNE SZUKANIE WYLĄCZNYCH WINOWAJCÓW ZA STOSUNKI KRESOWE W MIEJSCOWEJ ADMINISTRACJI

Kto przeczytał poprzednie ustępy mojego wywodu, nie mógł nie dostrzec, że wina za to, co się dzieje na wschodzie Rzeczypospolitej, niemal wyłącznie spoczywa na władzach centralnych i na sejmie, i że korzenie niemocy kresowej tkwią głęboko w całym naszym ustroju państwowym. Polskę urządzono odrazu centralistycznie, nie zważając na olbrzymie różnice, jakie zachodzą między różnemi jej stronami. Wszystkich podciągnięto pod dach tej samej ustawy konstytucyjnej, wszystkich obdarzono przywilejem współdziałania w budowaniu państwowości, wszystkich pasowano odrazu na pełnych obywateli, często bez ich woli i chęci. Rozumie się, że ta przedwczesność roboty politycznej, schematyczność jej i nie liczenie się z konsekwencjami, najjaskrawiej ujawniła się na najmniej do niej przygotowanych kresach wschodnich. Tamtejsze włościańskie społeczeństwo dane mu w rękę polskie walory polityczne oceniło sobie bardzo lekko i obróciło na walkę o inne więcej mu zrozumiałe. Dowodem tego były ostatnie wybory sejmowe, które miały tylko ten skutek, że dostarczyły kresom całego zastępu uprzywilejowanych mściwów, którzy korzystając z zagwarantowanej im nietykalności poselskiej stanęli na czele antypaństwowego ruchu, teraz już konstytucyjnie prawie że ubezpieczonego od wszelkiej ingerencji władz. Całemi kresami jak długie i szerokie wstrząsnął też wnet paroksyzm wzmożonego nastroju antypolskiego, na którego ożywienie się i spotęgowanie złożyły się niezłatwione postulaty rolne, drożyzna wyrobów fabrycznych, taniość produktów rolnych, licha waluta, zjawienie się pierwszych prawdziwych podatków itp. Władze, nie mając prawie zupełnie przystępu do wsi, dzięki temu, że zależność sołtysów w praktyce jest bardzo słabą, że oddziaływanie niezmiernie rzadko rozrzuconych centrów administracyjnych bywa całkiem niewystarczające i że komunikacja bardzo często albo w najwyższym stopniu utrudnioną albo wręcz niemożliwą, wiele zdziałać nie mogły. I na tem dopiero tle, na tym podminowanym gruncie zaczęły swą pracę sowieły, jednak nietyle z zewnątrz państwa, aż do organizowania band dywersyjnych włącznie, choć i to się dzieje, ile od wnętrza. Ten też drugi, niebezpieczniejszy,



rodzaj agitacji, wytworzył właściwe warunki do skutecznej, bo przeważnie bezkarnej działalności owych band.

Ubezpieczenie granic kordonem wojskowym lub bodaj wzmocnioną policją — bo i ona wystarczyłaby — to mniej trudna, ale równocześnie i mniej skuteczna część zadania, które w tej chwili mamy do spełnienia. Jest ono przeważnie tylko funkcją tych środków materialnych, jakie na ten cel państwo zechce wyłożyć. Ważniejszą rzeczą jest takie przekształcenie całego nastroju mas ludności kresowej, aby dywersant czy bandyta nie znajdował w nich oparcia. Przedewszystkiem idzie o demobilizację nastrojów antypolskich. Tylko całkowita zmiana dotychczasowego stosunku państwa do kresów może dać ten upragniony wynik. A zatem musi się zjawić potężna, zespolona rządowa władza kresowa, wielkie podniesienie autorytetu wojewodów, cofnięcie na długie lata bezpośrednio wyborów posłów do Sejmu, przy równoczesnem wprowadzeniu, jako równoważnika, wojewódzkiej autonomii terytorjalnej, usilne popieranie propolskich partij ukraińskich, uproszczenie i uporządkowanie całego ustawodawstwa rolnego, jaka taka państwowa działalność inwestycyjna, wzmocnienie powagi ale i zależności urzędów wiejskich od władz rządowych, wreszcie dbałość o szatę zewnętrzną naszej władzy. Szpetne nory, w których pomieszczono polskie urzędy, jak najrychlej właśnie na kresach powinny ustąpić przed przyzwotem gmachami, urzędnicy powinni przywdziać mundur, a także winno ustać to pomiatanie nimi, jakie dotąd ma miejsce. Co sobie n. p. może pomyśleć chłop wołyński o powadze choćby nawet wojewody, skoro dzisiejszy jest już zkolei coś dziesiątym czy jedenastym, który na Wołyniu obejmuje ten urząd w ciągu sześciu lat polskich rządów. Tak samo jest też ze starostami i innymi urzędnikami, którzy najczęściej odchodzą, jak mogę to skonstatować, bez żadnych słusznych powodów, od dla prostego „wizji mi się“ pana ministra.

O tem jednak wszystkim, co najgłówniejsze i co najbardziej podstawowe, pisze i mówi się tak mało, że opinia publiczna zupełnie nie wyznaje się w sytuacji. Całą natomiast winę stosunków składa się na barki administracji, która wszystkiemu ma być winną. Ona to, zdaniem czytelnika gazet, ma wszystko, czego dusza zapagnie, tylko rządzić nie umie. Jest złą, niedołężną, przekupną, słowem niegodną zbieraniną wykojęzonych jednostek, które zbiegły się na kresy, bo gdzieindziej nie mogły już egzystować.

Otóż ten właśnie pogląd muszę jak najstanowczej odeprzeć. Mój blisko dwuletni pobyt na Wołyniu pouczył mnie, że tamtejszy urzędnik nie jest ani lepszym ani gorszym niż gdzieindziej w Polsce. Praca administracji kresowej w możliwie jak najmniej sprzyjających warunkach,



nie oparta przytem o żaden jasny program działania, ba nawet, jak w Wielkopolsce, o jakieś ogólne opinie miejscowego społeczeństwa polskiego, musi mieć swoje niedomagania, to atoli jest pewna, że nie brak jej ofiarności, że ogromna większość urzędników kresowych to ludzie uczciwi i że poziom moralny, na którym stoją, nie wykazuje zgola tendencji do obniżenia się, lecz owszem szybko idzie w górę.

Najczęstsze są narzekania na policję. Ale i ona w okolicznościach, w jakich jej kazano istnieć i pracować, lepszą być nie może. Przedewszystkiem dotąd była bardzo nieliczną, powtórę bardzo źle opłacaną i odzianą, a wreszcie pozbawioną wszystkich prawie warunków sprężystego i energicznego działania, aż do uzbrojenia włącznie.

Przybywszy na Wołyń w lutym 1923 r. zastałem: 1652 funkcyjnarjuszów umundurowanych, 82 wywiadowców urzędu śledczego, 42 wywiadowców policji politycznej. Siły zatem niezmiernie skromne, które i potem nie wzrosły, lecz owszem bardzo często musiały zasilać sobą szczupłą obsadę granicy od strony Rosji, gdzie na odcinku wołyńskim od sierpnia 1923 r. pełniło służbę około 1400 ludzi. Przy granicy mającej 310 km długości, po odliczeniu chorych, urlopowanych lub przydzielonych do służby łączności, obsada tego rodzaju, przyjąwszy za podstawę służbę ośmiogodzinną, dawała zaledwie 1 policjanta na kilometr, czyli że w terenie leśnym lub zakrzewionym, zwłaszcza w nocy, wartość i skuteczność dozoru granicznego schodziła niemal do zera.

Siły policji wewnątrz kraju rozdzielone były między 165 urzędów policyjnych. Z tego tylko 45 rozporządzało własnymi aparatami telefonicznymi, 17 mogło zaś korzystać z aparatów gminnych, względnie pocztowych. Reszta t. j. 103 była od świata zupełnie odcięta i skazana na posyłki piesze, ewentualnie na postugiwanie się podwodami chłopskimi, bo cały wołyński okręg policyjny posiadał 10 wózków i 2 samochody. Można sobie wyobrazić, na jak kolosalne trudności, przy takiej służbie łączności, natrafiało szybkie uruchomienie sił policyjnych w razie pościgu za złoczyńcami.

A uzbrojenie! Okręg wołyński rozporządzał 23 karabinami francuskimi krótkimi, 94 niemieckimi, 118 włoskimi, 670 rosyjskimi, 478 austriackimi, 316 angielskimi. Mieszanina broni zatem wcale osobliwa. Amunicji wypadalo na karabin najrozmaiciej, od 30 do 50 naboji, przytem tak złych, iż zdarzało się stale, że cała obława w chwili stanowczej zawodziła, bo karabiny nie chciały dawać ognia. Niejeden z policjantów zetknąwszy się z doskonale uzbrojonym bandytą tracił życie dlatego tylko, że naprawdę był bezbronnym. Można sobie wyobrazić, jak taki stan oddziaływał na psychikę nieszczęśliwego żołnierza policyjnego, który wie, że dźwiga na ramieniu nie broń, lecz kawałek nie-



zdatnego żelaziwa, a ma się rozprawiać z ludźmi zupełnie zdeterminowanymi i doskonale obytymi z bronią palną.

Pomyśli kto może, że jeżeli pod względem uzbrojenia były takie defekty, to przynajmniej dbano o to, aby zmęczony, źle odziany, stale szkalowany w gazetach ofiarnik, zwany policjantem, miał gdzie głowę położyć. Tymczasem na 1652 umundurowanych funkcjonarjuszów było wszystkiego 618 łózek, 299 sienników, 365 koców i 669 prześcieradeł. Pomieszczenie również uragało często wszelkiemu wyobrażeniu. Budy drewniane z dziurawymi ścianami, niekiedy bez pieców i bez szyb w oknach, stodoły chłopskie nawet w zimie kryły naszego kresowego bojownika o ład i poszanowanie dla państwowości polskiej.

Aby dać wyobrażenie o niedostateczności rozmieszczonych na Wołyniu sił policyjnych i marnem ich zaopatrzeniu, sięgnę do porównania z Prusami Wschodnimi, które znam nie gorzej od Wołynia, gdyż przez dwa lata pełniłem tam funkcje polskiego konsula. Wschodnie Prusy co do obszaru prawie zupełnie równe Wołyniowi, a liczące tylko o 20% więcej ludności, posiadają około 12.000 t. zw. policji zielonej (*Schupo* lub *Sipo*), nadto mniej już liczną t. zw. policję niebieską i czerwoną, policję rzeczną, morską, kilkuset policjantów kryminalnych oraz 6 różnych wywiadów politycznych i granicznych zatrudniających do 500 ludzi. Wspaniale odziane, uzbrojone i skoszarowane wschodnio-pruskie siły policyjne rozporządzają ogromną ilością ciężkich samochodów do transportu całych oddziałów, kilkuset radiostacjami, wspaniałą siecią dróg, gościńców, linii telefonicznych i telegraficznych. A przecież sąsiadką Prus Wschodnich nie jest awanturczka i napastliwa Bolszewja, a środowisko, wśród którego działa policjant pruski, nie tworzy podburzone i wrogie włościństwo wołyńskie, ale solidarne, karne i zorganizowane społeczeństwo niemieckie.

Ale ktoś zarzuci może, że o tem wszystkim nie donoszono chyba rządowi warszawskiemu. O nie! Całe stosy raportów, idących z urzędu wojewódzkiego, błagały o poprawienie warunków ochrony kraju. Aż do ostatnich dni lipca wszystko to było atoli bezskuteczne. Dopiero trzeba było niebywałego napadu bandyckiego na leżące w województwie nowogrodzkim Stołbce i na kilka innych miejscowości granicznych, aby poruszyła się opinia publiczna, a za nią rząd.

Wojewodowie sami nie tu poradzić nie mogli, tem bardziej, że poza drogą raportów nie pozostawała im niemal żadna inna. Dość powiedzieć, że w całym okresie od lutego 1923 do września 1924 nie odbył się ani jeden zjazd wojewodów kresowych, że konferencje ministrów z wojewodami miały charakter całkiem dorywczych pogadanek, najczęściej na temat spraw personalnych, że nigdy nie było ani czasu ani ochoty na



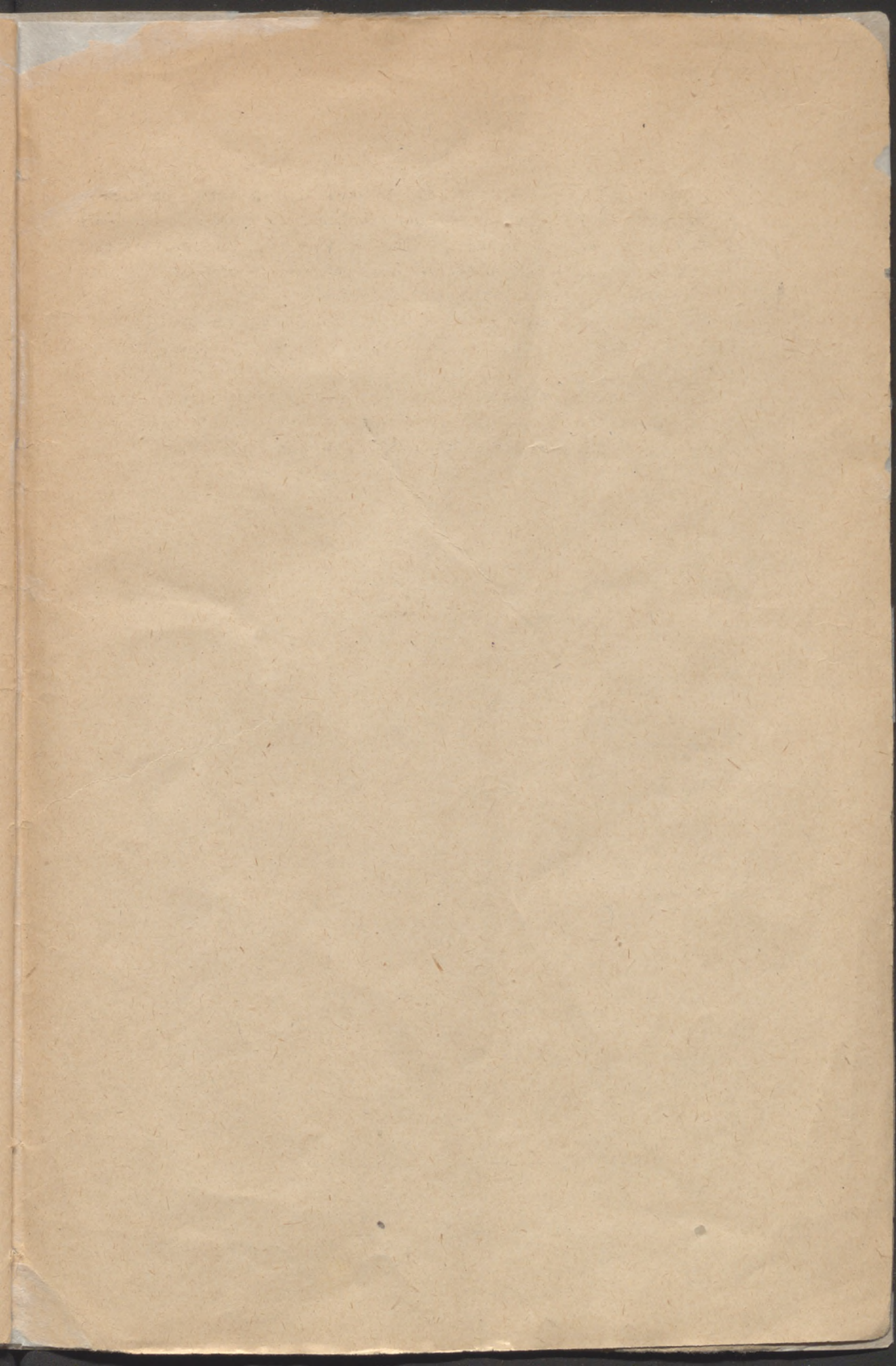
gruntowne zbadanie wypowiedzianych postulatów. Nawet kwestja najskromniejszego choćby kontaktu urzędów polskich między sobą, dla kresów niezmiernej wagi, omawiana w prasie pod szumną etykietą zespolenia władzy państwowej, na prawdę nie ruszyła z miejsca, bo minister spraw wewnętrznych na Radzie ministrów wolał jej nie stawiać na ostrzu noża i nie narażać sobie swoich kolegów z gabinetu.

Słowem, dla kresów przez lat kilka rząd i sejm nie miał niczego, ani myśli, ani serca, ani nawet jakiej takiej dbałości o najelementarniejsze potrzeby.

Może bodaj teraz czasy się zmieniają, może przyjdzie lepsze zrozumienie arcyważnego problemu kresowego, a wraz z tem i naprawienie naszych niepospolicie ciężkich błędów. *Post nubila Phoebus.*

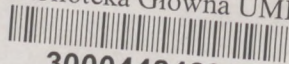






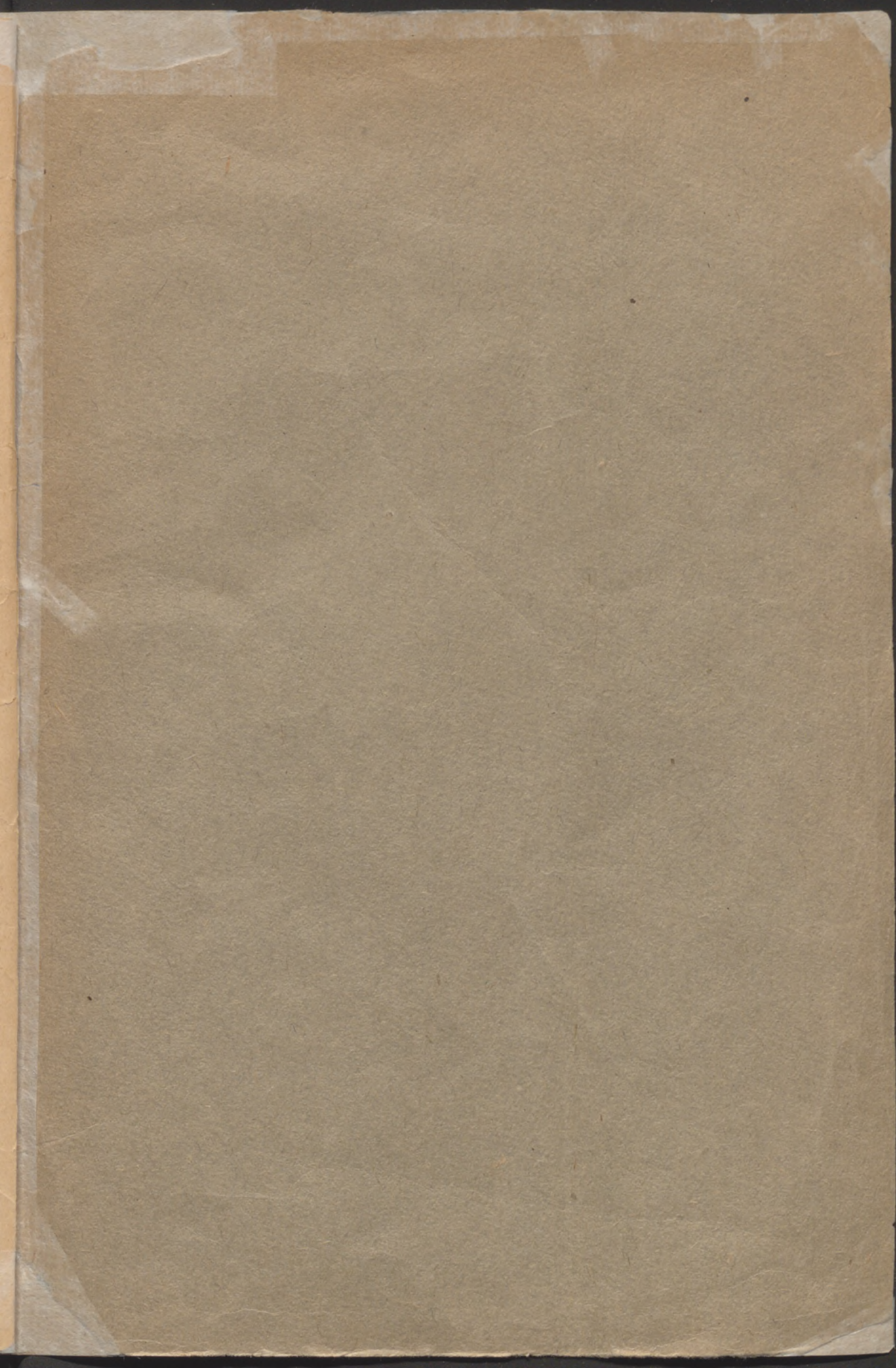


Biblioteka Główna UMK



300044842916

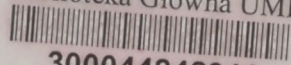






300033

Biblioteka Główna UMK



300044842916